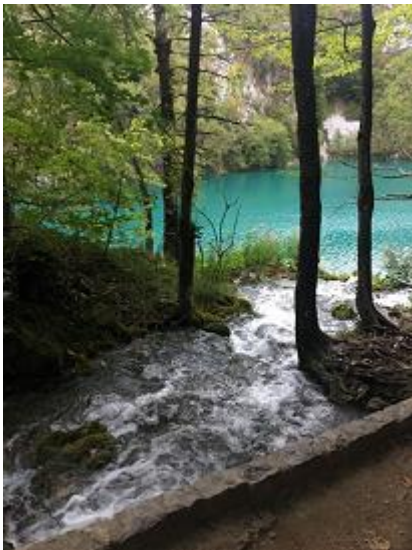


„Żywa lekcja geografii, czyli co trzeba poprawić w naszym podręczniku”

Na początku tego roku szkolnego, a dokładnie w dniach 22-27 września, my uczniowie kl.IIc , wzięliśmy udział w pięciodniowych warsztatach geograficznych, poza granicami naszego kraju. Dowiedziawszy się o tych planach, zaraz na początku pierwszej klasy, w naszych głowach pojawiła się myśl, że spotka nas coś wyjątkowego, a teraz miało się to urzeczywistnić. Edukacyjna wycieczka poprzez Słowenię, Chorwację i Włochy... Supertowarzystwo koleżanek i kolegów z klasy, opiekunów w postaci: Pani Izabeli Zmudy, Pani Anny Malinowskiej, Pani Joanny Wyzgały i Pana Wojciecha Chwalińskiego oraz uczniów kl. IIc. Nie można też nie wspomnieć o kluczowej postaci, przewodniku i zarazem koordynatorze warsztatów, panu Jurku. Wyborny humor, torby wypchane maminym jedzeniem, poduszka i koc na drogę , sakiewki pełne obcej waluty, na drobne o grubsze wydatki i co najważniejsze my, żądni nowych wrażeń z umysłami otwartymi na nieznane dotąd wyzwania.

Wszystko zaczęło się w niedzielę, o godzinie piętnastej. Do komfortowego, dwupiętrowego autokaru wchodziliśmy, namaszczeni pocałunkiem mamy,(do którego, rzecz jasna, nikt i tak by się nie przyznał) i zatroskanym słowem „Trzymaj się i nie choruj tylko”. Wreszcie wyruszyliśmy!

Aby dotrzeć do naszego pierwszego celu podróży, czyli Parku Narodowego Jezior Plitwickich w Chorwacji, musieliśmy przebyć ponad 1200 kilometrów, przejeżdżając kolejno przez Czechy, Austrię i Słowenię. Podróż trwała 16 godzin, wliczając w to wszystkie postoje w liczbie pięciu. Do Parku więc, zawitaliśmy w poniedziałek, około godziny 7:00. Po załatwieniu wszystkich niezbędnych spraw organizacyjnych i wykonaniu rutynowych ,porannych czynności toaletowych, byliśmy zvarci i gotowi do rozpoczęcia wędrówki. Najpierw, ku ucieśze większości, pokonaliśmy, całkiem spory odcinek trasy „meleksami”, dzięki czemu nie musieliśmy dodatkowo nadwyreżać, zdrętwiałych po podróży nóg. Przy akompaniamencie przepięknej pogody, spacerowaliśmy kilka godzin po licznych duktach; drewnianych kładkach, schodach i pomostach, momentami bardzo wąskich i nierzadko niestabilnych. Przed naszymi oczyma ukazał się krajobraz z licznymi jeziorami, o pięknej, turkusowej barwie i nieskazitelnej czystości wody. Tych cudów natury naliczyliśmy aż szesnaście.



Fot. 1 J.Plitwickie - widok ze szlaku turystycznego



Fot.2 J.Plitwickie – ujęcie z rejsu statkiem

Kolejnym elementem, który nadawał temu miejscu, niemalże magiczny charakter, były masywne i bardzo wysokie formy skalne. To ich obecność, na dnie każdego z jezior oraz minerały wchodzące w ich skład, nadawały lazurową barwę akwenom. Wędrując po parku, bez trudu zauważyć można było, że lasy porastają

większość jego terenów. Jak się okazało, istotnie, zajmują 75% całej powierzchni. W miejscu tak wspaniałym i urzekającym, trudno się nudzić, wobec czego, czas płynął bardzo szybko, a nogi same niosły nas ku następnym, godnym podziwu widokom. Niestety, po kilku godzinach nieustannej marszruty, zmęczenie spowodowane przerywanym i słabej jakości snem, zaczęło powoli dawać się we znaki. Na szczęście, zaledwie kilkadziesiąt metrów dzieliło nas od mostu, przy którym stał prom, czekający niecierpliwie, żeby przyjąć nas na swój pokład. Rejs stateczkiem był bardzo urzekający, pozwolił nam, jeszcze lepiej przyjrzeć się urokom rezerwatu. Podczas przerwy na posiłek w plenerze, z niezbyt smacznym, wnioskując z pomruków niezadowolenia, hamburgerem w rękę, odzyskaliśmy siły na dalsze zwiedzanie parku. W drugiej części poniedziałkowej wyprawy, ujrzeliśmy całe mnóstwo zachwycających wodospadów. Najwyższy z nich, który dane nam było zobaczyć z bliskiej odległości, mógł poszczycić się 78 metrami wysokości. Trasa, którą podążaliśmy w kierunku kaskad, była bardzo malownicza i umożliwiła nam podziwianie wielu gatunków roślin, występujących w parku, wśród których znajdują się 72 gatunki endemiczne. Fauna parku również obfitowała w wielorakość gatunków. Tylko nieliczni mieli szczęście zobaczyć, na przykład, żaby żółto-brązowej maści. Dostrzeżenie ryb, natomiast, nie stanowiło żadnego problemu, ponieważ bardzo duże ich ilości „urzędowały” w krystalicznych, przezroczystych jeziorach. Zauroczeni, ale także wycieńczeni, w niektórych przypadkach chciałoby się powiedzieć, jak z krzyża zdjęci, dotarliśmy w końcu do naszego środka lokomocji, wiernie czekającego na nasz powrót. Po ponad trzech godzinach jazdy, spożytkowanych przez wielu na sen, w granicach godziny 21:00 dotarliśmy do naszej bazy noclegowej. Usytuowanie dwugwiazdkowego hotelu, o nazwie, Dramalj, było fenomenalne. Widok z okien rozciągał się na fragment Morza Adriatyckiego, otoczonego Górami Dynarskimi. Po prowizorycznym rozpakowaniu walizek, głodni jak wilki, pośpieszyliśmy do stołówki, z nadzieją, iż dane nam będzie skosztować regionalnych potraw. Ku naszemu rozczarowaniu, dania, podane podczas obiadokolacji, niemalże niczym nie różniły się od polskiej strawy. Wobec tak pracowitego dnia, większość osób, niebawem po posiłku, wpadła w objęcia Morfeusza. Nikomu nie udało się zażyć zbyt wiele snu, gdyż zbiórka w autokarze, była zaplanowana na godzinę 8:30. Po wcześniejszym spożyciu śniadania, wszyscy wsiedliśmy do autokaru punktualnie, co pozwoliło nam wyruszyć planowo, ku Jaskiniom Szkocjańskim w Słowenii. Z okien autokaru, mogliśmy podziwiać krajobraz chorwackiego Półwyspu Istria. Mieliśmy także okazję, dowiedzieć się, że najpopularniejszym rodzajem linii brzegowej w tym państwie, jest Wybrzeże Dalmatyńskie, rozciągające się przez prawie cały, wspomniany wyżej półwysep. Pan przewodnik opowiadał także, iż ten typ wybrzeża powstaje w wyniku zalania gór, ułożonych równolegle do linii brzegowej. W ten sposób powstał system wydłużonych wysp i półwyspów, pomiędzy którymi, znajdują się liczne, głębokie cieśniny.

Sielankowy czas podróży został, niestety, zakłócony przez nieprzyjemny incydent, związany z przekroczeniem granicy chorwacko – słoweńskiej. Z powodu niedopełnienia formalności przez kierowców, byliśmy zmuszeni spędzić prawie dwie godziny, oczekując pozytywnej decyzji celników, w sprawie przekroczenia linii granicznej. Nie obyło się bez nerwów, lecz w końcu wszyscy mogliśmy odetchnąć z ulgą i ruszyć w dalszą podróż w kierunku jaskiń. Na miejscu stawiliśmy się o godzinie 13 30, a mniej więcej, pół godziny później, staliśmy całą grupą przed głównym wejściem do grotu. Warto wspomnieć, że ten ogromny zespół form krasowych od 1986 roku widnieje na liście światowego dziedzictwa UNESCO i jest uznawany za jeden z największych systemów podziemnych na świecie. Tamtejszy przewodnik, mówiący w języku angielskim, za pomocą rysunku poglądowego, wprowadził nas w magiczny świat podziemnych korytarzy. Po przejściu przez bramkę, będącą oficjalnym wejściem i pokonaniu tunelu długiego na 30 metrów, z bardzo nisko osadzonym sufitem i niebezpiecznie ostrymi fragmentami skał, znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni. Zwolniliśmy kroku, aby posłuchać o 3 podstawowych formach skalnych: stalaktytach, stalagmitach i stalagnatach oraz o „kropli drążącej skałę” przez miliony lat, czyli procesie powstawania jaskini, która rozrosła się do obecnych rozmiarów, głównie przy udziale opadów atmosferycznych. Po przejściu, zaledwie kilkadziesiąt metrów, przewodnik postanowił spłatać nam figla. Bez ostrzeżenia nacisnął przycisk, co spowodowało, iż nastąpiła całkowita ciemność. Celem tego zabiegu było uświadomienie, jak trudne zadanie mieli pierwsi odkrywcy. Podczas eksploracji w 18 wieku, początkowo poruszali się w głąb w zupełnym mroku. Z czasem, z użyciem wody, ognia oraz minerałów będących w jaskini pod dostatkiem, wykorzystując wiedzę z

dziedziny chemii i fizyki, zdołali stworzyć naturalne lampy, które umieszczali na czole. Po wysłuchaniu tej historii, schodziliśmy coraz niżej, podekscytowani i pełni napięcia. W końcu nastąpił długo wyczekiwany moment i jaskinia znacznie powiększyła swoją objętość. Nie mogliśmy się napatrzeć, obserwując okazałych rozmiarów formy skalne, o zarówno nieestetycznych kształtach, jak i takich, o pięknym wyglądzie, sugerującym ingerencję człowieka. Jak się jednak okazało, było to mylne wrażenie, ponieważ ludzka ręka nie miała w tym udziału. Z każdą sekundą, coraz głośniejszy się słyszeć odgłosy wody, płynącej na samym dnie kanionu. W międzyczasie, słuchaliśmy uważnie przewodnika, opowiadającego o cyklu życia nietoperzy, zamieszkujących w jaskini. Korzystając z tego, że kilkadziesiąt metrów pod ziemią, temperatura w jaskini jest stała i wynosi 12 C, zwierzęta te spędzają całą zimę wewnątrz niej, hibernując. Wkrótce, przed nami ukazała się rzeka „Reka” w najgłębszym i najobszerniejszym fragmencie całej groty. Widok, dosłownie, zapierał dech w piersiach, a sceneria wzbudzała skojarzenia z filmem „Hobbit: niezwykła podróż”. Schodząc wciąż coraz niżej, można było odnieść wrażenie, iż zmierzamy ku wnętrzu Ziemi, ku jej najmroczniejszym odmętom. Niektórym z nas, którzy wpatrywali się, bez pamięci, w dno rzeki, udało się dojrzeć sylwetki odmieńców jaskiniowych zwanych „ludzkimi rybami”. Jest to gatunek endemiczny, zamieszkujący jedynie zbiorniki wodne jaskiń krasowych, na terenie Gór Dynarskich. Wędrując ścieżkami przeznaczonymi obecnie dla turystów, widzieliśmy inne szlaki, które funkcjonowały dziesiątki lat temu. Spoglądając na niestabilne konstrukcje, bardzo strome i niezabezpieczone drogi, włosy stawały nam dęba, ponieważ, niektóre pomosty i kładki, wydawały się arcytrudne do przejścia, a upadek z większości konstrukcji zwiastował niechybną utratę życia.



Fot.3 Wyjście z Jaskini Szkocjańskiej



Fot.4 Wnętrze Jaskini Szkocjańskiej

Powiewy świeżego powietrza stawały się coraz bardziej wyczuwalne, co pozwoliło nam sądzić, że nasz pobyt w jaskini dobiega końca. Zanim opuściliśmy tę, niebotycznych rozmiarów groty, przed naszymi oczami ukazał się urzekający widok; wodospad o silnym strumieniu, kończący swój lot w jeziorze, otoczonym bujną zielenią drzew. Drogi w kierunku restauracji i sklepów z pamiątkami, stanowiła ścieżka, prowadząca w górę, dookoła jeziora, co pozwoliło nam podziwiać krajobraz z każdej perspektywy. Po zdobyciu pamiątek i szybkim posileniu się, wróciliśmy do autokaru. Przez szyby przyglądaliśmy się wspaniałej panoramie Chorwacji, gór, których obecność, dosłownie, przeplatała się z wodami Morza Adriatyckiego. Pan Jurek zwrócił także naszą uwagę na siatki, pokrywające strome zbocza skalne, znajdujące się przy chorwackich drogach, zapobiegające osuwaniu się odłamków skalnych na szosę. Z racji tego, że wróciliśmy do hotelu dużo wcześniej niż wczoraj, czekała nas tego dnia jeszcze jedna atrakcja. Po spałaszowaniu obiadokolacji, wybraliśmy się wraz z nauczycielami na spacer po pobliskiej plaży. Niestety, fakt, że wycieczka odbywała się pod koniec września, wpłynął na to, że temperatura wody w morzu była niezbyt wysoka, wobec czego nie było mowy o kąpeli. Zostaliśmy, za to, uraczeni cudownym widokiem zachodzącego słońca, nadającego piękną poświatę Górą Dynarskim oraz złocistą barwę tafli wody. Po zrobieniu wspólnych, pamiątkowych zdjęć na tle tego widoku, wróciliśmy do

pensjonatu, aby spędzić trochę czasu z przyjaciółmi w pokojach, a następnie przygotować się na kolejny dzień warsztatów. Następnego, środowego ranka, klasycznie, po zjedzeniu śniadania, zgromadziliśmy się wszyscy w autokarze i odjechaliśmy o 8:30. Dzień zapowiadał się bardzo atrakcyjnie, czekało nas zwiedzanie największego miasta na półwyspie Istria - Puli, posiadającego wiele elementów starożytnej zabudowy. Naszą obecność, zaznaczyliśmy w tym mieście około 12:30 na parkingu przy wielkiej przystani. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że Pula oprócz znaczenia historycznego, pełni także funkcję miasta portowego. Podążając ulicami na spotkanie z panią przewodnik, Polką mieszkającą na co dzień w tym mieście, w oczy rzuciły nam się piękne wysokie palmy, które wprawiły w osłupienie tych, którzy o ich istnieniu, w tymże miejscu nie mieli pojęcia. Otrzymaliśmy specjalną aparaturę i słuchawki dzięki, którym głośno i wyraźnie mogliśmy słuchać opowieści pani przewodnik. Zarówno gwoździem programu, największą atrakcją turystyczną i pierwszym punktem naszego zwiedzania w Puli był rzymski amfiteatr, przypominający Koloseum. Został on zbudowany w pomiędzy 2r.p.n.e , a 14r.p.n.e, przez ówczesnego cesarza republiki rzymskiej, Oktawiana Augusta, który rządził również w tym obszarze Europy. Głównym celem powstania tego obiektu, było utworzenie dogodnego miejsca dla starć gladiatorów. Skonstruowanie i wybudowanie amfiteatru, było bardzo kosztowną operacją i znacznie uszczupliło majątek Cesarstwa Rzymskiego. Wobec tego, że zyski ze sprzedaży biletów wstępu na walki stanowiły śmieszną sumę w porównaniu do kosztów budowy, cesarz Oktawian wpadł na bardzo kreatywny pomysł. Mianowicie, wprowadził zmianę w rzymskim prawie, obowiązującym w Puli, dotyczącą publicznego wypróżniania się. Po tym zarządzeniu, załatwianie potrzeb fizjologicznych na ulicach było nielegalne. Podczas walk gladiatorów, widzowie musieli, wobec powyższego, opróżniać pęcherze w płatnych „ubikacjach”, znajdujących się pod trybunami. Koszty budowy amfiteatru, zaczęły błyskawicznie się zwracać. Pod sektorami, przeznaczonymi dla publiczności, znajdowały się także punkty sprzedaży posiłków i napojów oraz szatnie gladiatorów. Pani przewodnik, opowiadając o walkach gladiatorów, obaliła powszechny mit, mówiący o tym, że były one bardzo krwawe i drastyczne, a wyjście z nich z życiem, było niemożliwe. W rzeczywistości, starcia były często bardzo realistycznie symulowane. Laniści, czyli właściciele gladiatorów, którzy inwestowali w nich wiele pieniędzy i musieli zapewnić im godne warunki życia, nie mogli sobie pozwolić na ich śmierć, w pierwszej lepszej walce. Po tej i wielu innych opowieściach i anegdotach dotyczących amfiteatru, przechadzając się ulicami Puli, doszliśmy w końcu do drugiej głównej budowli antycznej, Łuku Sergiusza. Został on wybudowany w latach 29-27 p. n. e i początkowo pełnił funkcję bramy miejskiej. Ten 8-metrowy łuk zaprojektowany w porządku korynckim, dysponował także licznymi elementami kultury wschodniej. Jego ściany, zdobi bogata dekoracja reliefowa przedstawiająca m.in. kwiaty akantu, winorośl, ptaki, rozety, wieńce, delfiny i mitologiczne stworzenia jak sfinksy i gryfy.



Fot. 5 Amfiteatr w Puli



Fot 6. Łuk Sergiusza w Puli

Po zwiedzaniu amfiteatru, przysługiwało nam półtorej godziny czasu wolnego. Wstępowaliśmy do sklepów z pamiątkami, a ci, którym już „kiszki marsza grały”, odwiedzili lokale gastronomiczne. Pobyt w Puli zakończyliśmy o godzinie 16. Stosunkowo wczesny powrót, dał nam możliwość spędzenia kilku godzin w

towarzystwie szkolnych kolegów, jednak tylko do godz. 23.00, gdyż o takiej porze obowiązywała bezwzględna cisza nocna.

Następnego dnia, czyli w czwartek, po spakowaniu walizek i zjedzeniu śniadania, opuściliśmy pokoje hotelowe. Tym razem ruszyliśmy autokarem o 8:15. Czekaliśmy pięć godzin podróży okraszonych, ponownie, bajecznymi widokami. Na początku, mogliśmy chłonąć uroki chorwackich wybrzeży, skąpanych w mocnym słońcu, a po przekroczeniu granicy z Włochami, na horyzoncie ukazały się majestatyczne, dumnie pyszniące się Alpy. Pozwoliły one napawać się ich pięknem przez całe dwie godziny, do czasu, aż autokar wjechał na teren miasta położonego na ponad stu bagnistych wyspach, na Morzu Adriatyckim. Autokar zatrzymał się na obrzeżach Wenecji, które swoim wyglądem w żadnym stopniu nie nawiązywały do historycznego centrum miasta. Do serca miasta, dotarliśmy po kilkudziesięciu minutach wędrówki wąskimi uliczkami. Najwęższe z nich, którymi da się tylko chodzić gęsiego, mają mniej niż 60 cm w szerz. Na miejscu czekała na nas lokalna pani przewodnik, Polka mieszkająca od ponad 20 lat w Wenecji. Po krótkim przedstawieniu się, podzieliła się z nami ciekawostką na temat weneckich budynków. Mianowicie, większość z nich, posiada dużo drewnianych elementów, które sprawiają, że ich konstrukcja jest łatwopalna. Fakt ten, jest swoistym paradoksem, gdyż jak wiadomo, Wenecja z uwagi na swoje położenie, nazywana jest miastem na wodzie. Słuchając kolejnej opowieści, zmierzaliśmy w stronę placu św. Marka, najważniejszego miejsca w mieście, biorąc pod uwagę walory historyczne. Tym razem dowiedzieliśmy się o tym, że ogromna ilość przybywających w sezonie wiosennym i letnim w te okolice, wpłynęła na decyzję mieszkańców miasta, o złożeniu petycji, o ograniczenie turystyki. Efektem tego, było wprowadzenie opłat dla turystów, za wstęp do miasta, obowiązujących od 2019 r. Zwiedziliśmy Bazylikę św. Marka, zbudowaną w I połowie IX wieku. Budowla została zaprojektowana w stylu bizantyjskim, na planie krzyża greckiego. Bardzo ważnym elementem architektonicznym na tym placu, jest również, dzwonnica budowana, od IX, do XII w., będąca przez długie lata, najwyższym budynkiem na świecie. Przechadzając się w tym obszarze, dostrzegliśmy, jak nam się wydawało, policjantów w żółtych kamizelkach i białych rękawiczkach, których obecność początkowo nas nie dziwiła. Jednak, kiedy dowiedzieliśmy się jaką funkcję pełnią, wprowadziło to nas w stan osłupienia. Otóż, ich głównym zadaniem, jest dopilnować, aby żaden, nawet strudzony turysta, nie wpadł na pomysł, aby złapać oddech, siadając na murku lub krawężniku. Warto dodać, że w Wenecji, nie znajdziemy żadnych ławek lub innych publicznych miejsc do siedzenia, poza tymi, w restauracjach. Gdy połączymy te dwa fakty, może się zrodzić w głowie pytanie: Czy wszystkie te działania są nakierowane na wyzysk turystów, którzy, aby móc odpocząć, muszą zapłacić za stolik w kawiarni, bądź restauracji? Mówiąc o Wenecji, przywołujemy na myśl naszym słuchaczom, z pewnością wiele różnych skojarzeń, jednakże ciężko uwierzyć, aby obrazek gondoli przepływającej pomiędzy budynkami zalanymi od podstaw przez wodę, nie pojawił się w ich głowie. Spacerując po centrum miasta, prawie na każdym kroku mieliśmy przyjemność podziwiać piękne, jedenastometrowe łodzie, którym prędkość nadawali gondolierzy w czarno białych strojach. Z gracją, posługiwali się długim wiosłem, krajającym turkusowe fale. Nieodłączny element przejażdżki gondolą, stanowi piękna muzyka, wydobywająca się, najczęściej, z akordeonu. Niestety, ze względu na niebotyczne koszty wynajęcia gondoli, nie stać nas było na taki luksus.



Fot. 7 Most Rialto w Wenecji



Fot.8 Gondole w Wenecji

Nasz pobyt w wodnym mieście zakończył się zajęciami niezorganizowanymi, spożytkowanymi przez niektórych na odwiedzenie galerii handlowej. Jednak kosmiczne ceny, tam obowiązujące, skutecznie zniechęcały do zakupów. Inni, postanowili pozować do zdjęć na moście „Rialto”, z którego roztaczał się cudowny, niemalże bajkowy widok.

No cóż, pora wracać, to był niestety ostatni element naszej wyprawy...

O 18.30 wyruszyliśmy w powrotną podróż. Siedząc w autokarze, raz jeszcze chłoniliśmy oddalające się widoki, przywracając świeże wspomnienia. Napawaliśmy się nimi ile mogliśmy. Do Poznania dotarliśmy następnego dnia, czyli w piątek przed godziną 15.

Wycieczkę tę, bez wątplenia, można uznać za najpiękniejszą i najciekawszą lekcję geografii. Móc na własne oczy zobaczyć, dotknąć, poczuć piękno otaczającego nas świata, pozostawi w naszej pamięci niezatarte wrażenia na zawsze.